

G. DE TE'RAMOND.

W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

1

I.

Zajście na pokładzie „Starego Czarnego Psa“.

Dwudziestego czwartego kwietnia 19.. roku około szóstej godziny wieczorem przybył do starego portu w Marsylii okręt, płynący pod flagą angielską i zaraz wywiesił żółtą chorągiew, żądając przybycia służby zdrowia. Zaledwie wizyta lekarska została skończoną, gdy od okrętu odbiła ośmiowiosłowa łódź i szybko pomknęła do brzegu. W przystani wysiadł z niej mężczyzna w czapce z galonami i zatrzymawszy przejeżdżającą w pobliżu drożkę, kazał się wieść wprost do głównego biura policyjnego, gdzie zażądał natychmiastowego widzenia się z komisarzem. Wprowadzony po kilku chwilach oczekiwania do gabinetu dyżurnego urzędnika, od razu przystąpił do wyjaśnienia powodów swej wizyty.

— Jestem, panie komisarzu, kapitanem „Starego Czarnego Psa“, trójmasztowego parowego statku, należącego do towarzystwa „The Universal Maritime Company“, mającego swą siedzibę w Liverpoolu. W Nowym Orleanie przyjąłem ładunek bawełny, którą miałem dostawić do Glasgowa na rachunek domu handlowego Hutchinson and Sons. W przeddzień odjazdu zjawił się u mnie mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni o milej powierzchowności, wykwintnych ruchach, z długą, rudawą brodą, która mu nadawała jakiś specjalny, lecz sympatyczny wyraz; z mowy poznałem w nim zaraz Amerykanina.

— Kapitanie — rzekł mi — z powodu przykrego wypadku spóźniłem się przed kilku dniami na statek, który miał mnie zawięzić do Europy, dokąd wzywają mnie bardzo ważne sprawy. Czy zechce mnie pan przyjąć na swój pokład? Zapłacę cenę, jakiej pan zażąda.

Przepisy Maritime Company nie zabraniają nam przyjmowania przygodnych podróżnych, którzy stanowią dla nas źródło ubocznych dochodów. Rzadko ich jednak miewamy, gdyż okręty nasze nie posiadają urządzeń niezbędnych dla pasażerów. Zwróciłem też uwagę swemu gościowi, iż nie mogę mu dać żadnej kajuty.

— Zajmę w takim razie pańską — odpowiedział obojętnie.

— A ja?

— A pan pomieści się w kajucie swego pomocnika.

— A mój pomocnik?

— Weźmie kajutę starszego majtki.

— A starszy majtek?

— Umieści się gdzie zechce... na pokładzie lub w bocianiem gnieździe!... A zresztą, cóż do dyabła mogą mnie obchodzić te drobnostki!...

Komisarz zaczął się śmiać i przerwał marynarzowi:

— Nie miał już pan potem najmniejszej wątpliwości, że był to Amerykanin?

— Najmniejszej, *by Jove!* Miał on dokumenty w największym porządku, wydane na imię sir Jonatana Williama Forstera z Bostonu. Wobec tego mogłem go śmiało przyjąć na swój pokład. Był to niespodziewany, a bardzo pożądany dochód; moje wynagrodzenie jest bardzo skromne, a w Liverpoolu mam żonę i trzy córki. Odstąpiłem mu więc swoją kajutę; kazał do niej przenieść sporo wiktuałów i wkrótce, na kilka godzin przed podniesieniem kotwicy, sam się zjawił. Bagaże zaś swoje, jak mi mówił, wysłał statkiem, na który się spóźnił. Tłumaczenie to wydało mi się zupełnie naturalne i pan, panie komisarzu, również by je za takie przyjął...

— Owszem, lecz nie widzę...

— Zaraz. Nie opuszczał swej kajuty, dokąd przynoszono mu jedzenie, chyba tylko, by strzelać do mew, a nie chybiał nigdy. W gruncie rzeczy nie bardzo mi się to podobało. Ja lubię wesołą kompanię; jestem, jak u nas mówią, *jolly old fellow*, spodziewałem się też, że mój pasażer zabawić się będzie w czasie podróży szampanem i pokerem, grając go ze mną i z moim pomocnikiem. Chętnie grywam w pokera. Jest to gra, w której naprężenie nerwów na chwilę nie słabnie. Zdarzyło mi się nawet pewnego razu w jednej z kawiarni liverpoolskich...

— I ja jestem, panie kapitanie, wielkim zwolennikiem pokera i proszę mi wierzyć, że żadna tajemnica tej gry nie jest mi obcą, ponieważ jednak

tego wieczoru czas ma dla mnie podwójną wartość, możebyśmy powrócili do przedmiotu.

— Zaraz do niego przystąpię.

Przeplwaliśmy właśnie sześćdziesiąty stopień południka, gdy pasażer mój podszedł ku mnie na tył okrętu, gdzie paliłem fajkę i zapytał:

— Do którego portu pan teraz zmierza?

Odpowiedziałem mu, śmiejąc się, lecz zarazem i zdziwiony jego pytaniem:

— Wie pan dobrze, że do Glasgowa.

— Moglibyśmy jednak, gdyby kapitan zechciał — rzekł mi tonem zupełnie spokojnym — udać się i do Marsylii.

— Niestety — odparłem — jest to niemożliwe.

— Ponieważ?...

— Ponieważ muszę jechać do Glasgowa, a nie gdzieindziej.

Obrzucił mnie bystrym wzrokiem i rzekł stanowczo:

— Niech pan jedzie do Marsylii.

Wzruszyłem ramionami i obróciłem się do niego plecami, naleganie to bowiem jego zaczynało mnie drażnić.

Dodał po cichu:

— Kapitanie, proszę się namysleć, dziesięć tysięcy franków dla pana...

— Czy tylko tyle? — odezwałem się.

— Dwadzieścia tysięcy.

— Nie.

— Trzydzieści.

Byłem jak olśniony.

A więc moje trzy córki skazane na staropanieństwo z powodu biedy i brzydoty, byłyby wyposażone i nie krwawiłyby już mego serca swymi skargami i żałami!

Obowiązek jednak zwyciężył.

— Nie, *by Jove!* — odpowiedziałem stanowczo — za żadną cenę...

Mówił dalej z zupełnym spokojem.

— Kupię cały ładunek okrętu.

— Nie do mnie on należy.

— Kupię więc okręt.

— Nie jest do sprzedania!

Odchodziłem już rozgniewany od tego postrzeżenia, gdy on naraz zagwizdał. Na ten sygnał cała załoga zbiegła się w mgnieniu oka na pokład.

— Załatwcie się z oficerami — rozkazał...

— Schwyciłem za rewolwer, by strzelić do pierwszego, kto zbliży się do mnie, nie zdążyłem jednak uczynić jeszcze żadnego ruchu, gdy zostałem skrepowany i ubezwładniony, jak również i mój pomocnik. Pojąłem teraz, że mój pasażer przekupił majtków i stał się panem statku.

— Przekonał pan się teraz — rzekł mi — jak źle pan uczynił, odmawiając mej prośbie. Obejdziemy się bez pana, czyż nie tak, chłopcy?

— Hip! Hip! Hurra! — zawołali wesoło.

— Nie jestem rozbójnikiem morskim — ciągnął dalej Forster i — nie mam najmniejszego zamiaru zrabowania towarów „Starego Czarnego Psa“. Zależy mi tylko bardzo na dostaniu się do Marsylii, a gdy postanowię coś, muszę zawsze tego dokonać. Pozostanie pan zamknięty w swej kajucie, dopóki nie dojedziemy do portu, w którym chcę wylądować. Narazie do widzenia!

Stało się tak, jak powiedział.

Gdyśmy wpłynęli między skały Pharo, oswobodzono mnie w istocie i mogłem objąć kierownictwo okrętu, jakby nic nie zaszło. Moją pierwszą czynnością było wywieszenie żółtej chorągwi, by przybyła komisja lekarska. Gdy jednak oczekując jej przybycia, zacząłem szukać swego gościa, on znikł i niedomyślałem się nawet, w jaki sposób umknął z pokładu...

W biurze policyjnej zapanowało długie milczenie. Komisarz ze zdziwieniem przyglądał się kapitanowi, jakby podejrzewał, czy przypadkiem słońce w kolumnach zamorskich nie zbyt silnie prażyło w karszkę tego dzielnego wilka morskowego.

Kapitan domyślił się zapewne tych posądzeń, gdyż dodał:

— Pomocnik mój potwierdzi zresztą panu całe to zajście.

Komisarz, nie wiedząc, co ma uczynić, poskrobał się w głowę, lecz by załatwić się szybko z tą sprawą, której nie chciał przyjąć seryo, zapytał:

— Więc przeciw komu wnosi pan skargę?

— Przeciw nikomu, *bless me!* Ten Forster zapłacił mi z góry wszystko, czego żądałem. Co zaś do majtków, to „Universal Maritime Company“ ukarze ich sama za niesubordynację. Tutaj chcę nabrać tylko węgla i wrócić do Glasgowa.

— A więc! — rzekł komisarz, podnosząc się szybko, zadowolony, że ta rozmowa już się skończyła — mogę tylko życzyć szczęśliwej podróży!

— Dziękuję, sędzę jednak, że pasażer, który w ten sposób postąpił, musiał mieć ważne powody do wylądowania we Francji w tajemnicy i właśnie przybyłem tutaj, by przestrzedz pana o tem.

Komisarz, jakby tknięty myślą jakąś, podszedł, potem siadł szybko i zaraz nacisnął dzwonek elektryczny. Natychmiast otworzyły się drzwi i ukazała się w nich głowa ozdobiona kepi.

— Czy pan Lapipe jest?

— W tej chwili przyszedł, panie komisarzu.

— Proszę go przysłać do mnie. Jestem pańskiego zdania — odpowiedział kapitanowi — sprawy tego pana może zainteresują i mnie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności posiadam tutaj obecnie najsprytniejszego agenta paryskiego. Niech on tropi dalej za tym śladem.

Zaledwie skończył, gdy ukazał się agent.

Był to niski, szczupły, kościsty człowiek o perłowej twarzy, przypominającej chłopców angielskich, którzy starzejąc się, zachowują wyraz i kształty młodzieńcze. Niezwykle jednak oczy błyszczały specjalnie żywo i rzucały spojrzenia, które mogły na wskroś przeniknąć człowieka.

Uklonił się i czekał.

Gdy kapitan na prośbę komisarza powtórzył swe opowiadanie, agent potrząsł powoli głową i nie odejmując wzroku od podłogi, której przyglądał się, jakby rozmawiał sam z sobą, powiedział:

— Sprawca zamachu dynamitowego na bank chicagowski miał wszelkie powody do postępowania w ten sposób. Zbyt on jest przezorny, by nie przypuszczał, że rozesłano jego rysopis do wszystkich portów i by nie obawiał się zaaresztowania, gdy będzie wysiadał na brzeg. Nie jest więc niemożliwością, że to może być on, w każdym razie można się upewnić co do tego.

I dodał głośno:

— Czy pan komisarz upoważnia mnie?...

Komisarz przerwał z uśmiechem:

— Panie Lapipe, jak zawsze ma pan zupełną swobodę działania.

Agent spojrzął na zegarek.

— Ośma godzin. Jeżeli ten jegomość jest tym, o którym myślę, pierwszą jego czynnością będzie wyjazd do Paryża, by zniknąć w tłumie, w którym trudno, jeżeli nie niemożliwym będzie, odnaleźć jego ślady. Wsiądzie do kuryera o dziewiątej godzinie, jest to pierwszy, a zarazem najdogodniejszy pociąg. Byłoby dobrze, gdyby pan kapitan zechciał mi pomóc tego wieczoru.

— *God dam!* — zawołał kapitan, szczęśliwy, że może się zemścić na tym *rascal*, który zamknął go w kajucie; — jestem do pańskich usług.

— Zrobimy tak! Pójdziemy na dworzec, gdzie umieszczę pana w takim miejscu, z którego będzie pan widział wszystkich podchodzących do kasy. Jeżeli on będzie jechał do Paryża, będzie musiał zbliżyć się do okienka. Wtedy, by nie zwrócić uwagi, uchyli pan tylko swej czapki i pozostanie pan nadal na miejscu, dopóki ja się nie zjawię.

— *All right!*

Agent i kapitan wyszli razem, komisarz zaś zabrał się do zredagowania raportu o tej sprawie, w której przypisywał sobie główną rolę.

— Nie można zapominać o awansie — mruknął do siebie — jeżeli jest to ten sławny złodziej z Chicago, od razu wypłynę na wielkie wody.

— Czy pan kapitan jedzie teraz do Paryża?

Anglik spojrzął zdziwiony na służącego w czapce kolejowej, który go w ten sposób zaczepił, ponieważ jednak nic nie odpowiedział, ten dodał po cichu:

— Nie poznaje mnie pan?

— *No!*

— Agent Lapipe.

— Ach, *very vell!*... *by Jove*, w tej czapce i z takimi wąsami czarnymi, mister Lapipe...

— W naszym zawodzie trzeba posiadać trochę zręczności. Lecz nie o to chodzi. Czy jest pan pewny, że to nasz jegomość brał przed pięciu minutami bilet przy okienku?

— Najzupełniej pewny!... jest to on... tylko mój pasażer miał długą rudą brodę, a ten nosi na sposób węgierski czarne faworyty, przytem zmienił ubranie i kapelusze... Wahalem się też... Lecz nagle spojrział on w moją stronę i bałem się, czy mnie nie dojrzał w mem ukryciu... wtedy jednak spostrzegłem jego oczy niebiesko-stalowe, jasne i bystre, których nie można zapomnieć, gdy się już raz je widziało... To on, mister Lapipe... Wyszedł tamtemi drzwiami.

Agent roześmiał się.

— Wiem o tem. Usadowił się już w sypialnym wagonie, dokąd mu sam zaniostem walizę.